

ALEKSANDRA NIELAWOLSKA

PRYZMAT

PRYZMAT

ALEKSANDRA ANIELA WOLSKA

PRYZMAT

Wiernaniem,
bez zachowaniem we wdzięcznej pamięci
Szanownemu Panu Redaktorowi
Józefowi Moszczyńskiemu

Aleksandra Aniela Wolska
V - 33

WARSZAWA — 1933
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Zakł. Graf. A. Konarzewskiego, Warszawa, ul. Senatorska 30.

I

BAJKA O DUSZKACH RZEŹBIARZACH.

Małe duszki pragnęły mrozu.
Strasznie!
— Kiedy już raz się zacznie?
Mówiły, czekały,
a kiedy wreszcie przyszedł — w rączki klaskały,
rzuciły się na okna tramwajowego wozu,
który był najbliżej, a potem na inne
i niewidzialne, zwinne
zaczęły z marznącej pary
składać kryształy.
I układały tak cudownie
linje proste, gwiazdki sześcioramienne,
misterne, promienne,
to znów z całą pewnością wymiaru, przestrzeni —
choć bez hałasu, skromnie —
tworzyły egzotyczne drzewa palmowe,
złoża kamieni,
a na nich — z dawno śnionej bajki
pałace, zamki
lśniące, brylantowe.
Powstawały nadzwyczajne rzeczy,
temu przecież nikt nie zaprzeczy:
Wąż z otwartą paszczą olbrzymi, gruby, biały
broni zaklętej pieczary,

skrzydlaty niedźwiedź na zbocze się wspina,
chcąc dojść widać do punktu, gdzie las się
zaczyna
gęsty, ostrzami świerków najeżony,
człowieczek z ptasią głową dziwnie pochylony,
podpiera się dwoma kijkami.
Przed nim — okręty połamane, świecące masztami,
po jakiejś strasznej burzy na lodowem polu
stoją cicho, srebrzystym przysypane szronem.
Dalej — szerokiem kołem
zastygłe w skoku, gotowe do boju —
jakieś straszydła,
mamidła.
Zakrzywione, kosmate pazury
wystawiły, drapieżne!
Ten widok byłby okropnie ponury,
gdyby ponad tem polem lodowatem, śnieżnem
nie stanął krzyż. Równiutkie ramiona
duszki wymierzyły ściśle, doskonale,
chociaż rzeźbiły w lodowym krysztale.
Lecz czego taki duszek nie dokona?
Pracowały gorąco, z zapałem, jak zwykle,
wiedząc jednak napewno, że wszystko to zniknie,
jeśli słońce w południe do tego się wtrąci.
Bo słońce takie już jest: zawsze im wodę mąci.
Więc śpieszyły się bardzo, pertraktując z mrozem:
— Jeszcze nam drzewa zostały!
Szereg cały!
I druty telegraficzne, tramwajowe!
Do rana muszą być gotowe!
Mróz się zgodził i szklanym powozem
odjechał.

Nie będzie przecież czekał,
aż te maleństwa skończą. A one —
rozradowane, ucieszone,
owinęły wszystko watą śnieżną.
Nie zapomniały o antenach. Nawet tę niebosiężną
przystroiły i szybko pomknęły daleko,
hen, na te pola, co widać za rzeką.

WICHER I CHMURA.

Poprzez morze, poprzed górą
hulał sobie wicher z chmurą.
Jak poleciał tak i lata
kręci-męci, pianę zmiata
na fali...
Polecieli z weseliskiem
do kumotra nad urwiskiem.
Zatańczyli nad górami,
ślad pokryli śnieżynkami,
hasali...
Kiedy do dom przylecieli,
chmura siadła do kądzieli,
ale wicher jak i przódy
chwycił swoje wielkie dudy
i dmucha.
Ponarabiał dziwne biedy —
las się zwalił kędyś-kiedy,
zawierucha się zrobiła,
aż się chmura zadziwiła
i słucha.
A jak szkody obejrzała,
starą miotłę wyszukała —
jak nie machnie ode głowy —
wichru niema i połowy,
tak zmyka.

Jak machnęła od ramienia
wicher przysiadł u kamienia,
napół martwy, napół żywy,
osmęcony, żałośliwy
usypia.

JĘDZA.

Ty jesteś straszna, straszna jędza!
Spalićby cię należało na węgielek, na popiół!
I żeby wreszcie dokoła był spokój —
iśćby trzeba przez pole, gdzie wąziutka miedza,
sypiąc to szare, ciężkie popielisko
na ściernie,
na kamienie,
a resztę rzucić w uroczysko,
tam, gdzie upiory różne pokutują,
zawodzą, straszą, zło knują.
Niechby się tym popiołem pożywiły,
nabrały siły!

TRUBADUR.

Ja jestem trubadurem. Więc cóż dziwnego,
że w każdym grodzie kocham inną damę?
Bo czy te same
śpiewać mam ciągle canzony?
Nie znam żywota innego,
jak tylko ten,
by wciąż przed siebie iść, aż hen
od zamku do zamku.
Jam z pieśni urodzony
i pieśnią jestem sam.
Gdy śpiewam o kochanku,
który po świecie tu i tam
roztrwonił własne serce —
o sobie wówczas śpiewam
i siebie uczę.
Bo chociaż czasem wzrusza
ten zapach róż i zapach bzów,
które po drodze zbieram
z przeróżnych ust, przeróżnie wykrojonych —
złudzeniem jest, że nic już więcej nie chcę,
jak tej harmonji barw i słów.
PANIĄ MI JEST JEDYNIE MOJA DUSZA,
wciąż szukająca
przecudnych baśni niewyśnionych,
cudów i słońca.

I dla niej szukam prawd, olbrzymich wzlotów,
swobodnych pragnę dróg, jak ptaków klucze,
a poprzez wszystko, co, ginąc, rozkwita,
poprzez wędrówki złudy obłoków —
w górę się wznosząc — żyć będę na szczytach.

WYŚCIGI.

Prędzej! Ach, jeszcze prędzej! Z ciągłym
warkotem motoru
jechać po taśmie tej szosy! Przełamać linję boru!

Prędzej! Ach, jeszcze prędzej! Horyzont zobaczyć
nowy,
minąć kwadraty i pasy, pól deseń kolorowy!

Wcinamy się w smugi wiatru. Rozpalonemi ustami
powietrze wchłaniam przeczyste. Obłoki kurzu
za nami.

Zakręt. Samochód się chyli. Sekundę oddech
stłumiony.
Jedziemy dalej. Cudowny, cudowny ten wyścig
szalony!

Drzewa nas powitały szelestem, pełnym radości.
Żegnając, rzuciły z góry spojrzenia biednej
zazdrości.

Znów pola. Woddali miasto. Nasz motor jest
najlepszy!
Wpadamy w rojne ulice. Okrzyk zwycięstwa.
Nasz pierwszy!

DZIADÓWKA.

Do wiosny idzie, do wiosny! Nie płacz, maleńki!
Wyrosłeś z starej sukienki?
Rączki masz sine?
Moje ty dziecko jedyne,
trudno. Co zrobię?
Chory był ciągle tatulo, aż poszedł sobie.
Do wiosny idzie, do wiosny. Grzać będzie słońce,
kwiaty zakwitną pachnące
i wszędzie, synku, oj, wszędzie
cieplutko będzie!
A dzisiaj na żebry pójdę. Może mi dadzą
panie, co śliczne dzieci prowadzą,
ciepłą sukienkę.
Jak kamień skrzepnę
i tylko powiem oczami, tylko oczami:
— Synka mam w domu! Pomóżcie! Widzicie sami...

W ZADUSZKI.

Przeleciały nad grobami sygnały,
drżą w powietrzu, dotarły w głąb ziemi.
Obudzony i tęskniący za nimi
wstał cmentarz cały.
Zakłóconą jest cisza bezbrzeżna.
Szkielety w sposób dziwnie zawiły
we wszystkich się alejach skłębiły,
jak chmura śnieżna.
Idą z ironji pewnością,
że tłumy gwarne, szaleńcze,
co dzisiaj znoszą im wieńce —
będą nicością.
Stukają o siebie piszczele,
szeleszczą suche paluszki...
Szkielety obchodzą Zaduszki,
zmarłych wesele.
Drwiąc sobie z ludzkiej rozpaczy,
jak każe zwyczaj prastary,
każdy z nich szuka ofiary,
śmiercią ją znaczy.
I przy skazańcach się tłoczą,
zgrzytliwie sycząc: — „Memento!
spotkamy się w nasze święto!“
Chichoczą... Chichoczą... Chichoczą...,

GŁOS WIDMA.

Sama kąpałam, czesałam,
krwią własną cię hodowałam,
zapominając o sobie.
Życia nie stało w mem ciele chorem
i leżę teraz w samotnym grobie,
pod ciemnym borem.
Dziś znowu z wichrem w twe okno pukam,
serca twojego szukam.
Świstem, poszumem, skargą
pytam się ciebie żałośnie:
zali masz duszę tak twardą?
Zali ci życie jest znośne
z tym ciężkim, ponurym grzechem?
Czy nie odzywa się echem
mój krzyk i moje wołanie,
kiedy się w niebo patrzysz błękitne?
Czy nigdy skruchy nękanie
w ciebie nie wniknie?
Pospiesz się, synu, pożałuj!
Nogi Chrystusowe całuj
na krzyżu samotnym, rozdrożnym!
Bo minie i twoja godzina
i moc, by znów stać się zbożnym!
Wtedy nie dopomoże modlitwa matczyna...
Zginiesz. Noc cię wchłonie głucha.
Słuchaj! To moja ręka wichrem w okno puka!

TAMTA I TA.

1.

Usłyszałeś akord, akord twej pieśni końcowy,
chociaż bezszumnie zsunęły go klawisze.
Rozdzwonił jednak przedporanną ciszę
i zadrżałeś,
bo przebrzmiał, jak dzwon pogrzebowy.
Walcząc ostatkiem siły,
w przedśmiertnej męce pożegnałeś
młodości krasę.
Już się nie boisz, prawda, miły?
Teraz widzimy dawne życia nasze
zdaleka...
Zlitowania dla ciebie prosiłam u Boga,
lecz prośba żadna nie mogła zmienić wyroku,
gdyż taka była twoja droga.
Więc przyszłam jeno, wiedząc, co cię czeka,
i akord wzięłam końcowy,
byś słyszał, żem jest blisko
i że cię wyprowadzę z mroku
w przystań wieczystą.

2.

Grzebień lekko zatapia we włosach,
zsuwa na dół, zaczyna na nowo,
jak automat z sprężynową ręką.
Czesała go kiedyś w cudnych wrzosach...
Słońce wtedy gasło purpurowo...
O, męko...
Ile razy o szarej godzinie
całowała te usta i oczy
delikatnie, ostrożnie i miękko...
Więc tak wszystko, tak wszystko przeminie?
W czarną przepaść się życie potoczy?
O, męko...
I już nigdy w pustym, smutnym domu
nie powita go z synkiem na progu...
Jutro ludzie przylutują wieko,
jutro wniosą trumnę do wagonu...
Własne życie oddałaby Bogu...
O, męko...

PYTANIE.

Może mnie już zabierzesz, o Boże,
bo się tutaj już nic nie nauczę?
Co dzień rano, gdy oczy otworzę,
serce rwie się, szaleje i tłucze,
oddech chrypi mi w płucach przeżartych,
wciąż się błąka i świszcze przedziwnie
po tych strzępach z choroby otwartych...
Śmierć mnie przecież i tak już nie minie...
A gorączki ogniste potwory
stoją przy mnie. Ich ślepia czerwone
palą żarem. Jestem bardzo chory.
Sił brakuje. Już wszystko stracone.
Może mnie już zabierzesz, o Panie,
od tej męki i smutku, i nędzy,
przebaczając to moje znękanie?
Czy uwolnisz mnie prędzej? Ach, przędzej...
Wiem. Cierpienie to szkoła najlepsza,
przez cierpienie Twój głos się rozróżnia,
skarby duszy starannie powiększa —
klejnotami wypełnia się próżnia...
Więc jeżeli uważasz, że tutaj
poznać muszę me wszystkie przewiny —
niech się stanie. Lecz Boże, Ty słuchaj!
Słuchaj, Boże mój wielki, jedyny:
Jest mi ciężko — więc pytam gorąco:
Czy odpowiesz mi, Boże słoneczny?
Kiedy zdmuchniesz pochodnię gasnącą?
Czy mnie prędko zabierzesz w blask wieczny?

LATO.

Lipy pachną, lipy pachną... A wszędzie
tyle bólu na świecie... Jest, będzie....
Tyle ludzi umiera i kona...
Daj im, Panie, doczekać wieczora!
Niechaj umrą, nie czując, bezwiednie.
Niech nie cierpią. Niech idą pół-sennie.
Daj im, Panie, jakieś wizje przejrzyste
i marzenia ostatnie daj czyste.

— — — — — — — — — —

Lipy pachną, lipy pachną i wszędzie
ludzie idą radośni. Niech będzie
i tym dobrze, co żyją bez myśli.
Daj im, Panie, by cicho odeszli.

II

PAMIĘCI MOJEJ MATKI.

Jak dobrze Cię pamiętam, najdroższa biedaczko,
gdy siedziałaś przy biurku chora i zmęczona
długie nocne godziny, sama z swą rozpaczą...
W tłumionym, ciężkim szlochu drżały Ci ramiona,
ręce, kochane ręce, chwilami padały
bezsilnym, ciężkim ruchem na Twoje kolana,
oczy, stępiałe w bólu, już nic nie widziały,
a twarz była, jak martwa. Twarz łzami zalana...
Ukryta w ciemnym kącie w sąsiednim pokoju,
płakałam razem z Tobą, jak Ty beznajdziejnie,
że tyle musisz przeżyć zmartwienia i znoju,
stając sama do walki o życie niepewne.
I wówczas zrozumiałam, jak serca są twarde,
gdy dekorację główną śmierć nagle przesuwa.
Przyjaciołom nieszczerym przysięgłam pogardę
ja, dziecko, co zwątpiło, że „Bóg w niebie czuwa"...
Bo komu miałam wierzyć, widząc, że wciąż płaczesz,
bezradna w samotności, lecz dumna przy obcych?
Wiedziałam: każdą chwilę krwią serdeczną znaczysz,
a dzień każdy masz ciężki, bezlitośnie gorzki.
Tak dawno już odeszłaś... Lecz w duszy ogrodzie
żyjesz zawsze. Przy tobie szukam ukojenia,
bo zdobyłaś po krótkiej, lecz krzyżowej drodze
to, co trudno osiągnąć: CISZĘ PRZEBACZENIA.

Z CZARNEJ GŁĘBI.

1.

Twarze straszne, nieludzkie, zielone,
oczy skośne, wdół opuszczone,
usta — szrama wykrzywiona sina,
niby gadu długa, cienka szyja.
Nienawistnie przenikają źrenice,
obnażając męki tajemnice.
Słowa grzmiące — zemsty grozą dyszą.
ludzie jednak tych słów nie usłyszą.
Jęk rozpaczy... O pomoc wołanie...
W Imię Boże: niech światło się stanie!

2.

Przesuwają się kolorowe pasma
na tle czerni miękkiej, aksamitnej.
Jedno drugie zabarwia i niknie,
widma-zjawy, bezkresu nić jasna.
Płyną zdala cud-lotosy promienne,
malowane tęczowemi barwami,
setki figur, szkicowanych kreskami —
wszystko żywe, ruchliwe i zmienne.
Wytryskają srebrzyste fontanny,
suną kule, błyszczą fioletem,
niby-lilje tętniące uśmiechem,
niby-róże, niby-złote-dziewanny.
Poprzez dziwną grę kształtów, kolorów
huczą dzwony septymowym akordem,
hałaśliwe, jak fale nad fiordem,
dzwony-wichry wśród olbrzymich borów.
Dnie i noce wypełniają pogwarem.
Niemilknący, przenikliwy, uroczny —
niszczy myśli, rozsnuwa cień mroczny,
każdą chwilę zatruwa swym czarem.

ZAWRÓT GŁOWY.

Idę, idę (tak jestem zmęczona!)
przez jedną ulicę i drugą...
Szary potwór wpełza na ramiona,
szyję objął cienkiemi rękami...
A iść muszę tak długo, tak długo...
Taka ciężka ta paczka z książkami...
Szary potwór swe macki rozwija,
palce lepkie i zimne, jak z lodu,
zsuwa wolno i w gardło się wpija...
Na ulicę wypędził mgłę białą...
Nie wiem sama, gdzie idę. Do domu?
Nie mam domu. Iść mogę noc całą
i nie dojdę (Tam kwitną ogrody).
Gdzie ja jestem? Coś szumi... coś szumi...
Czy to miasto? Nie. Wiejskie zagrody.
Niebo takie jest dziwnie błękitne,
las czarniutki tak cicho coś mówi...
Fale miękkie... fale aksamitne...
Pły...nę...

TĘSKNOTA DO CUDZEGO DOMU.

Takbym chciała zapukać do cudzego domu
wieczorem
i usiąść przy kominku...
Pies jakiś duży leżałby na dywanie...
Nie mówiąc nikomu,
poco przyszłam, siadłabym w kąciku
kanapy i patrzyła w płomień.
I gdyby w pokoju
był ktoś dobry,
któryby się nie dziwił, że patrzę bezmyślnie
(bo twarz często kłamie)
i żeby wiedział o mym cichym zdroju
czarownej wody, co duszę odrodzi,
a wszystko w blask ustroi srebrzysty i modry...
Lecz przecież do cudzego domu
wieczorem się nie wchodzi
i nie siada przed ogniem, nie mówiąc nikomu
dlaczego...

PO MANOWCACH.

Po manowcach błądzę jałowcowych,
po manowcach błądzę sama jedna.
Igły szarpią pasma włosów płowych,
ostre igły krzaków jałowcowych...
Smutna jestem, zmęczona i biedna.
Dojdę wreszcie hen, na kraniec góry,
co jest PRAWDĄ. Jedyna rzecz pewna.
Bo tam giną jesienne wichury,
w tej przepaści, aż na krańcu góry,
bo tam niknie mgła biała i zwiewna.
Owinę się w włosy moje płowe,
stopę mocno postawię na zrębie
i, żegnając krzaki jałowcowe,
które rwały włosy moje płowe,
runę nagle bez słowa tam, w głębię.

SCHIZOFRENJA.

Więc cóż, że tutaj jest ten pokój mały?
Przecież tam, gdzie się morze szmaragdowe pieni,
mam przecudowny zamek, wykuty w granicie...
To jest bardzo daleko. Wśród złomów kamieni
widać tylko drzwi z bronzu zamknięte dzień cały.
W tym pięknym zamku niema okien wcale
i obojętne słońce tam wchodzić nie może,
kiedy mu się podoba. Codziennie o świcie
gnomy drzwi zamkną cicho, zanim wzejdą zorze,
zapalając lampiony rzeźbione w krysztale.
Gdy wesoło — to blaski rozpylą się tęczą,
Kiedy smutno — krwią niby cały zamek gore.
Przeszłość, która mi wszystkie zaległa komnaty,
i tęsknota, wspierając ręce na mem czole,
do ogrodu udręczeń duszę moją wiodą i jęczą.
A wtedy przecudowne grywają mi pieśni
moi wierni grajkowie, na zamku mieszkańcy,
o tem, że znowu wiosna powróci i kwiaty,
dusza rozerwie łańcuch, krzyk rzuci powstańczy
i zabłyśnie zwycięską a bujną urodą przyszłości.
I otworzą szeroko zamknięte podwoje
gnomy moje kochane, wiedząc, że w noc jasną,
kiedy fale na morzu lśnią w blasku księżyca,
a światła w całym zamku powoli zagasną —

pieśni wichru rozproszą dawnych wspomnień roje.
Smutek mój niknie. Znów wszystko tłumaczę.
Dym wije się smugami z ulubionej fajki,
którą kornie podaje stara czarownica,
gnomy plotą już dawno zapomniane bajki
o dobroci i pięknie, czekając, aż zasnę.

111

MARSZAŁKOWI PIŁSUDSKIEMU
w nieśmiałym hołdzie.

DWA KOMENTARZE.

1.

A gdyby nawet złożyć dusz waszych tysiące,
płomieniem nienawiści jeno gorejące,
gdyby w jedną je stopić, by powstała wreszcie —
to jeszcze
za mało będzie, karły,
na jedną moją duszę! A żeście ją zamknęli
w samotnej celi
i łapy wasze ją obdarły
z szaty kosztownej —
to nic. Zabłyśnie jak meteory,
choć teraz w walce bezsłownej
dusić się musi i kona powoli.
To nic, karzełki. To nic — chociaż boli.
Bo krzyk o pomstę do Wielkiego Boga
idzie codziennie od dusz katowanych
przez was.
I taka z niego siła powstaje karząca,
ponura, wroga,
że życia wasze bez myśli, bez czucia —
obłędne będą targały upiory
i cierpień nieznanych

okrutny pojmiecie wyraz,
gdyż męka paląca,
cuchnąc zgnilizną zepsucia —
za dusze, które chociażby na chwilę zamarły
i na was przyjdzie, wy, spodlone karły!...

2.

Nie wam mnie sądzić, mili,
nie wam mnie sądzić!
Wolno mi dobrze czynić — jeśli zechcę —
i wolno błądzić,
byle mnie w ciszy nie skarżyło serce
i me sumienie.
A wy... Czy macie jeno zrozumienie
swej własnej winy i swej własnej nędzy?
Cóżeście z waszej duszy uczynili
przybytek jasny, strzelisty i święty,
dla innych mając: ...„Nikczemny! Przeklęty!“?
Mnie Bóg jest tylko sędzią
i Bóg jedynie!
On tylko moim Panem i wszystko przebaczy
w swojej godzinie:
wszystek bunt, smutek wszystek i słabość rozpaczy,
gdyż sam mnie rzucił, atom swojej Mocy
w blaski złotego dnia i ciemność nocy,
snując powoli nitkę życia przędzy.
I tam dopiero, na samej krawędzi,
gdy śmierć na czoło dłonie chłodne złoży —
sąd odbywać się będzie. Ten jedyny — Boży!
Nie wam mnie sądzić! Nie wam...

1920 r.

IV

Jakże ty śmiałeś, człowieku szalony,
zabraniać wstępu na wawelskie wnętrze
szczątkom dostojnym królewskością ducha,
Wieszcza narodu, który szlak podniebny
wskazał nam wszystkim?
Czyli myślałeś, że ciebie posłucha
lud, kornie pochylony?
Że w proch go zetrze
twoje dziecinne, śmieszne — „Protestuję!“?
I że będziesz go straszył groźbą i biczyskiem
klątwy? Że do stóp ci legnie?
Daremnie.
My tu jesteśmy wolą, a każdy z nas czuje,
te prawdy, które głoszą Wieszcza przykazania.
On wszystkim królom równy, co na zamku starym
świadczą o naszej chwale i świetności
z dziadów na wnuki — pokoleniom całym!
I Wieszcz w nas budzi głos szlachetnej dumy,
wskazując prostą drogę do wielkości
ducha.
A my jesteśmy tłum. Tysiączne tłumy,
które z za grobu wzywa do zerwania
łańcuchów.
I tłum go posłucha!
I wszyscy się staniemy dziećmi Królów-Duchów!

I tyżeś Jemu
śmiał odmówić schronienia w królewskim Wawelu?
Któżeś jest? Czyli naród sam ciebie wyznaczył,
byś mu starych a dumnych zabytków pilnował?
Ty będziesz decydował,
kogo my złożyć zechcem w naszym relikwiarzu?
My znamy miarę.
Wiemy, że w ołtarzu
jest miejsce Święte Świętych. A ty naszą wiarę
w królewską jasność — ty będziesz tłumaczył?
Któżeś jest? Czyli do twego domu ma wstęp lud
ubogi?
Czyli u twego stołu biedni zasiadają?
Czyli też, znając Chrystusowe drogi,
pociechę niesiesz smutnym, kiedy nań czekają?
Czyli nędza z miłością wymawia twe imię?
Czyliżeś spełnił zadanie olbrzymie,
że wydajesz nakazy surowe i dumne,
odrzucając od skarbca drogą dla nas trumnę?

— — — — — — — — — —

Niechaj odpowiedź sumienie ci wskaże.
I może kiedy o nocy gwiaździstej,
poznawszy swoją winę — w przyciszonym szepcie
Wieszczowi pychę ofiarujesz w darze
w po tysiąckroć obecnie uświęconej krypcie
i uznasz siłę duszy promienistej.

1927 r.

Z woli bogów umarł. Więc dziś, a nie jutro
owińmy tego trupa w cudnie tkane płótno
i ułóżmy w grobowcu, tam, na górnem piętrze,
żeby prędzej już sczerniał i wysechł na wietrze!
W rocznicę — zapalimy świece kolorowe
odśpiewamy żałobne, pogrzebowe pieśni,
cześć oddając popiołom. I wieko dębowe
zatrzaśniemy na zawsze. Niech więcej się nie śni!
Z woli bogów król umarł! Godnego zastępcę
osadzimy na tronie, kiedy naród zechce.
Most opuścim zwodzony i z wesołym śmiechem
rozpoczniemy dzień nowy, dawnych czasów echem.
I po uczcie skończonej, wśród kwiatów powodzi,
a pijanych wiwatów — wykrzykniem radośnie,
kiedy płynąć będziemy — znów w królewskiej
łodzi:
„Król umarł!“ I wszyscy podchwycą rozgłośnie:
„Z woli bogów niech żyje król!“

PAN WIKTOR.

Nakładam stare palto (Ach, te stare buty!),
stary biedny kapelusz, stare rękawiczki
i ruszam w deszcz do biura. Przez kręte uliczki
idę szybko i moknę. Jak koń niepodkuty,
ślizgam się po rozmiękłym, wydeptanym bruku,
tłumiąc w sobie tysiączne krzyki nienawiści,
że są przecież na świecie inni ludzie, czyści,
którzy w błocie nie drepczą wśród dorożek huku,
co mają parasole i płaszcze, i konie,
samochody zamknięte, szykowne, obłudne,
i z domu nie wychodzą w deszcz na miasto
brudne...
Idę, myślę, przeklinam i zaciskam dłonie
w mych wytartych kieszeniach. A deszcz ciągle
pluszcze.
Wilgotne mam już plecy, ramiona i głowę,
choć idę bardzo prędko. Już drogi połowę
zostawiłem za sobą. Lecz iść przecież muszę,
skoro życie mnie wplotło w swoje kłębowisko,
w którem niema jednostek, lecz kółka w maszynie,
bo życie nie zna przerwy i nie trwa bezczynnie:
w ciągłem aktywnem drganiu przesuwa się
wszystko.
Ja — kółko zazębione z tysiącem tysięcy,
którzy po wielu miastach dziś ziębną na słocie
przemęczeni, grzęznący każdy w jakiemś błocie —

muszę zdławić mój protest bezmiernej niechęci
i dziękować, że biegnę tak jak inne cienie,
szczęśliwie zagarnięte w dynamikę pracy,
gdyż poza nią jest próżnia nędzy i rozpaczy
wyrzuconych za nawias w złowrogie milczenie.

WIECZORNY SPACER.

Lubię się błąkać wieczór po ulicy,
kiedy zmrok siny na ziemię opadnie,
mgły porozwiesza w tętniącej stolicy
i niby gwiazdy rozpali latarnie.
Napozór wszystko zwykłe. Po jezdni w pośpiechu
suną błyszczące, zgrabniuteńkie auta,
za mną — wybuchy beztroskiego śmiechu,
pod murem — babka na lasce oparta...
I tyle domów stłoczonych po bokach,
wysokich, zasklepionych, ponuro drażniących,
przedziwne abażury w oświetlonych oknach
rzucają barwne plamy na spacerujących...
Wiem, dokąd śpieszą — chociaż twarz się zmienia
(Ludziom zawsze się zdaje, że każdy jest inny,
a wszyscy są cząstkami białego promienia,
Bożą dłonią sianego przez pryzmat olbrzymi).
Tak podobne są wszystkie zmartwienia i troski,
jak te domy o szarych, zatartych konturach.
Lecz każdy się zasklepia zazdrosny i ostry,
szańcując swoje życie w tych słabiutkich murach.
Te same są pragnienia i te same cele
tak w nędznej suterenie, jak na wyższem piętrze,
choć jedni są stłoczeni w zaduchu i biedzie,
a drugim chłodzi czoło zamorskie powietrze.
Wieczorem, kiedy maski trochę opadają —
wszystko tak się wyraźnie odbija na twarzach...

Wszystkie oczy te same myśli wyrażają,
chociaż w innych tonacjach, kształtach i obrazach.

— — — — — — — — — —

I dobrze wtedy spojrzeć, wracając do siebie,
jak gwiazdy swoim zwykłym suną korowodem
po tem dalekiem, niedosięgłem niebie
i wiedzieć, że płyniemy z wirującym globem.

V

KAZNODZIEJA SALOMONOWY:

1:13. 2:20. 4:1. 4:4.

„I przyłożyłem do tego serce swe, abym szukał i doszedł mądrością swoją wszystkiego, co dzieje się pod niebem (Tę zabawę trudną dał Bóg synom ludzkim, aby się nią trapili).

I doszedłem do tego, abym zwątpił w sercu mojem o wszystkiej pracy,

...ujrzałem wszystkie uciski, które się dzieją pod słońcem, a oto widziałem uciśnionych, którzy nie mają pocieszyciela ani mocy, aby uszli rąk tych, którzy ich ciemiężą.

Bo widziałem, że wszelka praca i każde dzieło jest ku zazdrości jednych drugim. I to jest marność i utrapienie ducha".

NA ROZDROŻU.

Którą, ach, którą iść drogą
od tej pustyni gdzie stoję?
Ta — niknie w mgłach ciemnej dali,
inne — w przepaści otchłanie mnie wiodą,
a tamta — pnie się pod górę, po ostrych głazach...
Wicher mnie pierwszy obali,
boję się. Bardzo się boję...
Razi mnie życie, zawarte w pustych wyrazach,
razi obłuda złych ludzi...
Dusza, jak ślepce się błąka,
wciąż snując życie nieobecne, senne.
Czyli ją ze snu obudzi
kwiatami zasiana łąka?
Czyli jej leki pomogą z krainy zaczarowanej?
Czy przejrzy?
Czy dojdzie wreszcie do prawdy wyczuwanej,
tej własnej swojej prawdy,
która może ujawnić to, co jest niezmienne?
Czy z najskrajniejszych rubieży,
do dzisiaj nieodkrytych w chaosie skłębionym,
jakiś błysk nagły
królewskim skarbem ją obdarzy,
ukaże myślom zdumionym
ten kształt, stojący ponad wszelką pracą,
który zostanie na straży
świątyni, dokąd już nigdy widma nie kołaczą?

ZWĄTPIENIE.

Kiedy nie będę mógł odejść nigdzie
(progu mojego nic nie będzie strzec
w ten wieczór beznadziejny),
klątwa szaleństwa znów kiedyś przyjdzie
i znowu będę nędzny i chwiejny.
Rozpacz duszę omdlałą w zwątpieniu rozpyli,
szyderstwa chłoszcząc biczem —
rezultat upokorzeń i bólu obliczy,
przypomni zmarnowane siły...
A potem drwiąco mnie zapyta,
czy chcę nareszcie zrzec się mąk daremnych,
ciężar odrzucić precz
i wydrzeć prawdę bytu głębin,
co tutaj nie zakwita,
polecieć w dal choćby na czarnych skrzydłach
i runąć w zatracenie śladem niszczonych słońc,
by nikt mi więcej nie powiedział: — „Bądź!“
Być oparem na życia mamidłach!?
Nigdy! Przenigdy! Bo jakiem prawem
ludzkie istnienia rzucane są w wiry?
I jakiem prawem dręczą je kolejno
czarnem i białem
słońce i kiry?
A jeśli są rzucone — czemu z okrucieństwem
smagać je potem djabelskim kańczugiem,
dręczyć przekleństwem,

przeorywać pługiem
miljony żyć w morderstwach i pożodze?
Że słabe? Złe?
(A co jest zło?
Wiadomo jest na pewno:
gdy kamień rzucić na wody powierzchnię —
utonie!
Wiadomo także, że drzewo spłonie,
kiedy w nie piorun uderzy!)
Czemu te życia nie były tytaniczne,
czyste, kryniczne?
Czemu wyrosły w brudnej trwodze,
lub śnie?
Czy takie miały być koniecznie?
I jakże taka nędza w cel bytu uwierzy?
Jakże ma zmierzyć się z żywiołem
przed wieki rozpętanym?
(Kto go rozpętał?! Kto?!)
I jak ma walczyć i zwalać olbrzymów,
kiedy za pochylonem czołem
ma jeno dreszcz przed jutrem, przed nieznanem,
strach śmierci, bezwstyd swych czynów,
czasem — mglistą potrzebę dobroci i ciszy,
których od Boga żąda niepewnie...
(Czy Bóg to słyszy?
Miljony kalek prosi tak rzewnie...)

— — — — — — — — — —

Jakże nie pragnąć wyzwolenia
z trucizny, danej z gatunkowości perfidją?
— — — — — — — — — —

A może niema zatracenia?

— — — — — — — — — —

Może, gdy spłyną wszystkie łzy,
tęsknota szara, nieustanna,
szarpiąca każde tętno krwi,
powita zgrzytem chrapliwym — „Hosanna!“
dni zmartwychwstania? Może przyjdą?...

PRAWDA.

Czasem, gdy jestem w polu i widzę wielki krąg,
który granicę niebios zakreśla tuż przy ziemi,
wspierając ją na łanach szemrzących pól i łąk,
patrzę, lecz w jeden akord nie łączę się z niemi.
Bo zda mi się, że jestem niby Bóg,
centralny punkt stworzenia i przyrody.
Gdy zechcę — oczy me wieczności ujrzą próg,
co wiedzie do OJCZYZNY, gdzie duch jest
wiecznie młody,
gdy zechcę — świat poderwę w olbrzymi,
górny lot
poprzez miljony gwiazd i szlaki drogi mlecznej,
wedrę się w NIESKOŃCZONOŚĆ, w kosmiczny
cudów prąd,
znajdując wreszcie klucz zagadki życia wiecznej...

— — — — — — — — — —

Próżno. Zgubiłem skrzydła. Tłumiony, głuchy jęk
pochyla mnie ku ziemi, jak drzewa w burzę
wielką...
Nic nie chcę. Przez wieki nie zerwę moich pęt:
Przed dziwnem słowem — „BÓG“ — ja będę wciąż
muszelką...

— — — — — — — — — —

Lecz nie umiera bunt. Szaleńców mleczny brat,
znajduje zawsze siłę i rzuca hen, w przestworze:
— Nie zginie męka duszy i żmudna praca lat!
Nie oddam nic, aż dojdę w one KRÓLESTWO
BOŻE!
We mnie jest cząstka Jego! Tysiącem ech
wciąż drży
ton czystych, świętych tęsknot, co zerwać
pragną pęta!
Niczem jest życie ciała! Niczem jest życie krwi!
PRAWDĄ jest DUCH! I wciąż ojczysty kraj
pamięta!
Wie, co to znaczy PRAWO, każe mi przy niem
trwać,
uśmiechać się przemądrze, gdy ból mi życie łamie,
DUCH, który nieustannie o sobie daje znać,
a który — gdy trup padnie — to jednak pozostanie!

IV

TRANSPOZYCJE.

1.

Kto jesteś? Miej wreszcie odwagę
postawić sobie to pytanie.
A jeśli nawet nie znajdziesz sił,
by na tem dłużej skupić uwagę —
to pozostanie
w twej utajonej głębi nowe tętno,
świadczące o tem, że już był
wysiłek ku poznaniu i kiedyś zetrze adamowe
piętno.
Bo cóżeś jest? Kukiełka odziana przystojnie,
której się zdaje, że kroczy godnie,
gdy ją za sznurek ciągnie tysiące nędznych
nawyków,
począwszy od modnych słów — aż do
wykwintnych bucików.
Czy miewasz własne myśli i sąd?
Wszystko masz pożyczone.
Ruch każdy, sposób bycia są jeno podpatrzone
u tych, którzy dla ciebie — to wzór wymarzony
i sądzisz, że stanowisz model wykończony.
To jeno trąd!
Bo czemu inni dla ciebie są sprawdzianem?
Czemu sumienie się nie liczy?
Dlaczego nie jest twoim panem,

lecz milczy,
zepchnięte za tchórzostwa mur.
za ugodowość i obłudę?
Chcąc z puszczy stworzyć zagon żyzny —
musisz wyrąbać bór.
Więc odrzuć złudę
i z sercem, pełnem tężyzny
obcości zniwecz brzemię,
A wtedy inny usłyszysz głos:
pożniwie strojne w bujny kłos,
Wielkość, co drzemie.

— — — — — — — — — —

2.

Czego ty chcesz od Boga? O co się zwykle modlisz?
Czemu w zbyt gorzki dzień wstępujesz do
świątyni?
Czemu tam obiecujesz, że więcej się nie spodlisz?
Przecież to jeno kłamstwo, bo nie chcesz być inny.
I chociaż wielu świadków twoich modłów słucha,
gdy je naiwnie, szczerze pod sklepienia rzucasz —
nic się zmienić nie może. Świątynia jest głucha,
bo życiem twem kieruje nieznany ci Mocarz.
Za dużo masz kościołów, bogów, relikwiarzy,
słów pustych, padających niby suche liście,
za dużo strojnych w pychę czcicieli ołtarzy,
którzy sami nie wiedzą, czem jest Boże przyjście.
Nie istnieje Bóg taki, jakim mieć go pragniesz —
Bóg-tarcza, szafarz szczęścia, przed gromem
schronienie,
Bóg, który cię wywyższy, podniesie, gdy padniesz,
Bóg, czuły na twe każde, najmniejsze
westchnienie.
Niema takiego Boga, Duch-Stwórca jedyny,
Który wszechświat bezkresny trzyma
w równowadze —

jest przez nas zapomniany, choć bliski —
zbyt inny,
ukryty w zamyślonej, tajemnej powadze.
Lecz z Jego władczej woli światem rządzą p r a w a.
Wiedz o tem: prawa wielkie, straszliwie
niezmienne,
prawa s p r a w i e d l i w o ś c i — nie żadna Jaźń
łzawa,
która daje się zamknąć w pojęcia śmiertelne.
Jeśli czynów nie dajesz — w żadnej nie jest mocy,
choćby nawet gorzała płomieniem miłości,
odkupić t w o j e winy, zmienić t w o j e losy,
dokąd sam się nie dźwigniesz z swej własnej
nicości.
BÓG-MOCARZ dawno wskazał Prawdę
odrodzenia,
którą starasz się zdławić, choć wiesz, że jest
w duszy.
Czcij Prawdę, a zrozumiesz cel twego istnienia,
gdyż atom Bożej Mocy wszystkie więzy skruszy.

— — — — — — — — — —

3.

Trawi cię męka, ból i rozpacz. Nie wiedząc, skąd
przychodzą,
jak zwierz się w klatce miotasz, burze się w tobie
srożą.
W przestrzeń milczącą idą łzy, skargi
i przekleństwa —
bezsilne, chwiejne odruchy, jak pierwsze kroki
maleństwa.
Masz chwile, że przyzywasz nagłego śmierci
przybycia,
gdyż wierzysz, że przyniesie sen-spokój zamiast
życia.
I modlisz się o zgon, jak o największą łaskę,
ty ślepcze! Kiedy zerwiesz z obłędnych oczu
opaskę?
Widzisz ratunek pewny w śmierci z własnej woli,
chcesz odejść z koła żywych, z łańcucha życia
niedoli.
Mylisz się. Stokroć się mylisz, sądząc, że wszystko
skończone,
gdy ciało stanie się trupem. Twe długi niespłacone
PRAWO obliczy starannie, bezkresną ilość razy,

bo musisz dojść do Boga bez winy i bez skazy!
A kiedy odrzucisz ciało, cień ducha — stygmat
fałszywy,
nie zaznasz ciszy wypocznień. Znów będziesz
nieszczęśliwy.
O wiele nieszczęśliwszy, gdyż z tamtej nieznanej
ci strony —
nie skrócisz bytowania. W śmierci nie znajdziesz
ochrony.
Aż przyjdzie znowu czas i znów cię rzucą w życie
nie to, którego pragniesz w pustym, bezmyślnym
półbycie,
lecz w walkę, w cierpień nędzę, aż piękno ból
wyrzeźbi
z najgorszej nawet duszy, gdyż mądra do głębi
dojść musi do początku własnego istnienia,
by znowu spojrzeć w PRAWDĘ BOŻEGO
TWORZENIA.

— — — — — — — — — —

4.

Dużo zdeptałem dróg,
przez miasta, wioski polami.
Każdy wstrzymywał mnie próg,
nęcąc różnemi drzwiami.
A wszystkie były zamknięte.
I nigdy się nie otworzą.
Rozkazy niepojęte,
kreślone dłonią Bożą
gnały mnie coraz dalej.
I szedłem długo. Szukałem.
Rzucany z fali na falę,
do wielu serc pukałem.
Nikt nie chciał mi otworzyć.
Wszyscy mówili: „z Bogiem!“
Dobrocią zwykli się drożyć,
chociaż nie byłem ich wrogiem.
I wreszcie zrozumiałem: Nie trzeba pukać do ludzi.
Wielu śpi snem zaklętym i dla nich nie przyszła
chwila.
Moje pukanie śpiących nie obudzi.
Należy ich ominąć, jak wiele rzeczy się mija.
Pukać jest też nie warto w odrzwia i mędrców
najcichszych.

Odpowiedź będzie pusta — wszystkim mówić
wolno.
Wyjść trzeba hen, na pole, stanąć na wzgórzu
najwyższem,
wczuć się w rozlewną ciszę dokolną
i mówić z WŁADCĄ ŚWIATA bez słów, bez skarg
z pobladłych warg.
A wówczas głos zabierze ten Jasny, Rzeczywisty,
wyczekujący i po wieki czysty:
W jednem oka mgnieniu
wszystko stanie się proste w cudnem zrozumieniu
JEDNI.

— — — — — — — — — —

5.

Trudne jest rozpoznanie. I dużo mija wieków
nauki, walk i prób,
nim w nędznym, śmiertelnym człowieku
zakwitnie to cudowne, bolesne zwycięstwo,
wypełniające życie poza grób,
wiodące wreszcie tam, skądżeśmy wyszli,
niszczące złudę, ciężar i przekleństwo.
Klucz od bram Życia odnajdziemy wszyscy.
Znalazłszy własne SŁOWO,
pójdziemy w PRAWDĘ zapatrzeni
wąziutką ścieżką
z jasnością odtąd ukochaną
połyskującą tęczowo —
gorejące,
niegasnące
znicze —
w radosny dzień, w słoneczne rano...
I życie nie będzie już klęską
z szarem, zmęczonem obliczem,
a glorją, krynicą zachwytów,
zdobyczą krwawej pracy przez tysiące bytów.

— — — — — — — — — —

6.

Pamiętaj zawsze: każda chwila,
każdy dzień
w następnem życiu się odbija
i światło zbierzesz, albo cień.
Bo w wielkiej bytu twego księdze,
czyliś jest pan, czy chłop w siermiędze —
Prawo wyryje każdą myśl
i każdy czyn,
ten, który był,
ten coś chciał skryć,
a nawet ten, który nie śmiałeś
przenigdy stawić sam przed sobą.
Ty może zapomniałeś,
chowając wszystko za zasłoną,
że ktoś przez ciebie jedną chwilę
cierpiał, że płakał pokrzywdzony
i wiele, wiele innych rzeczy,
które odeszły w sen skończony,
lecz nie zniknęły. Czujnej pieczy
wszystko zostaje powierzone,
wszystko powstanie i ożyje:
Masz chwile szczęścia ściśle policzone,

jeżeli dobro siałeś.
Żniwo cierpienia zadanego
zbierzesz na sobie za cudze cierpienia.
Niema sposobu innego,
któryby cię nauczył — tylko ból.
I nie ten, który widzisz, lecz własny, twój.
Ból cię nauczy, że n i e m a p r z e b a c z e n i a.
Gdybyś zrozumiał PRAW WIECZYSTYCH
cudowną równowagę...
Lecz tylko wtedy pojmujesz Moc Bożą,
wśród bladych modlitw tracąc odwagę,
kiedy dyszące grozą
nad tobą samym przeciągną orkany,
choroba, klęska.
Gdy widzisz grób już wykopany,
końcowy wykres przyziemnego szczęścia —
wzywasz ratunku. Lęk jeno siny
zmartwiałą duszę upewni, że jest BÓG —
MOCARZ — JEDYNY.

FRAGMENT.

...o MYŚLI, MYŚLI, MYŚLI gorejąca,
tętniąca w każdym atomie...
Swem drżeniem kierujesz bezmiarem
form własnych, w TOBIE znikających...
MYŚLI, która jesteś dla siebie wymiarem
w całym kosmosu bezkresnym ogromie...
MYŚLI, pra-wiecznie czuwająca...
...o SIŁO, SIŁO, SIŁO nieskończona,
skarbniku cudów i chwały,
głębio przepaści gwiaździsta
z miljardem światów wirujących...
SIŁO rozpylonych bytowań przeczysta,
własne upojnie paląca ofiary...
SIŁO, pra-wiecznie utajona...

1919 — 1928.

SPIS RZECZY.

I.

II.

III.

IV.

V.

VI.

VII.